

WCIAŻ OD NOWA

DIANE
KEATON



MYŚL

Mama uwielbiała porzekadła, cytaty, maksymy. Do ściany w kuchni zawsze były przyklejone drobne przypomnienia. Na przykład słowo MYŚL. Znalazłam MYŚL przypięte pinezką do tablicy korkowej w jej ciemni fotograficznej. Widziałam je przymocowane taśmą klejącą do pudełka na ołówki, które ozdobiła własnym kolażem. Natknęłam się nawet na broszurę zatytułowaną MYŚL na jej nocnym stoliku. Mama lubiła MYŚLEĆ. Napisała w notatniku: *Czytam książkę Toma Robbinsa I kowbojki mogą marzyć. Fragment o małżeństwie odnosi się do walki kobiet o spełnienie. Notuję to sobie do przyszłych ROZ-MYŚLAŃ...* A dalej zamieściła cytat z Robbinsa: *Dla większości biednych, głupich kobiet po cywilizacyjnym praniu mózgu małżeństwo jest szczytowym osiągnięciem. Dla mężczyzn to kwestia logistyki: mężczyzna dostaje wikt, nocleg, opierunek, telewizor, seks, potomstwo i wszelkie wygody pod jednym dachem.*

[...] Ale dla kobiety małżeństwo to kapitulacja. Małżeństwo to chwila, gdy dziewczyna rezygnuje z walki... i pozostawia mężowi wszystkie interesujące i istotne zadania... mężowi, który obiecuje dbać o nią. [...] Kobiety żyją dłużej niż mężczyźni, ponieważ tak naprawdę nie żyły*. Mama lubiła ROZMYŚLAĆ o życiu, zwłaszcza o doświadczeniu bycia kobietą. Lubiała też o tym pisać.

W połowie lat siedemdziesiątych podczas odwiedzin w domu robiłam w ciemni mamy odbitki zdjęć z Atlantic City, gdy wtem natknęłam się na coś, czego nigdy dotąd nie widziałam. Było to coś w rodzaju, bo ja wiem, szkicownika. Na okładce widniał kolaż złożony z rodzinnych fotografii, opatrzony słowami: *Liczy się podróż, a nie dotarcie do celu*. Wzięłam brulion do ręki i zaczęłam przerzucać strony. Zawierał wprawdzie kilka kolaży wykonanych z rozmaitych fotek oraz wycinków z pism ilustrowanych, lecz przede wszystkim wypełniały go zapiski strona po stronie.

Spędziłam owocny dzień w księgarni Hunter's. Przearanżowaliśmy dział książek o sztuce i odkryliśmy wiele interesujących, a schowanych dotąd pozycji. Minęły dwa tygodnie, odkąd przyjęli mnie do pracy. Zarabiam trzy dolary i trzydzieści pięć centów na godzinę. Dzisiaj wypłacono mi w sumie osiemdziesiąt dziewięć dolarów.

Nie był to jeden z jej typowych albumów z wycinkami, na który składały się te same co zwykle serwetki z Clifton's Cafeteria, stare czarno-białe fotografie i moje nie tak znów porywające świadectwa szkolne. To był pamiętnik.

* Fragment powieści *I kowbojki mogą marzyć* Toma Robbinsa w przekładzie Piotra W. Cholewy.

Wpis z datą 2 sierpnia 1979 roku brzmiał:

NA TEJ STRONIE UWAŻAJ. Od ciebie, potencjalny przyszły czytelniku, będzie wymagało to odwagi. Mówię, co mnie gryzie. Jestem zła. Obiekt złości – Jack – wyzwiska, te, które rzucił mi prosto w twarz – NIE DA się ich zapomnieć i jest to bez wątpienia problem – „Ty przekłety draniu” – powiedziane – odczute. Boże, wydaje mu się, że kim niby jest, do ciężkiej cholery?

Tyle mi wystarczyło. Zabolalo, mocno zabolalo. Nie chciałam wiedzieć o takiej stronie życia matki i ojca, która zachwiałaby moim wyobrażeniem o ich miłości. Odłożyłam pamiętnik, wyszłam z ciemni i nie zaglądałam więcej do żadnego z osiemdziesięciu pięciu dzienników aż do jej śmierci dobre trzydzieści lat później. Lecz oczywiście bez względu na to, jak bardzo starałam się zaprzeczyć ich istnieniu, nie mogłam nie widzieć, jak zalegają na półkach z książkami albo leżą wsunięte pod aparat telefoniczny czy też lypią na mnie z wnętrza kuchennej szuflady. Kiedyś zaczęłam przeglądać nowy album mamy z reprodukcjami obrazów Georgii O’Keeffe, leżący na stoliku do kawy i zatytułowany *Sto kwiatów*, a natychmiast znalazłam pod spodem dziennik opatrzone tytułem *Kto mówi, że nie masz szansy?*. Odniosłam wrażenie, że wszystkie sprzysięgły się przeciwko mnie: „Weź nas do ręki, Diane. Weź nas”. Ani mi się śni. Nie ma mowy, żebym przeżyła to doświadczenie jeszcze raz. Zaimponowała mi jednak nieustępliwość mamy. Jakim cudem wytrwała w pisaniu, nie mając czytelników, nawet pod postacią własnej rodziny? Tymczasem wytrwała, tak po prostu.

Pisała o powrocie do nauki w wieku czterdziestu lat. Pisała o byciu nauczycielką. Pisała o każdym bezpańskim kocie, którego

uratowała. Kiedy jej siostra Marti zachorowała na raka skóry i straciła większą część nosa, pisała także i o tym. Pisała o frustracjach starzenia się. Gdy tato zachorował w 1990 roku, jej dziennik tchnął wściekłością na niesprawiedliwość, że rak zaatakował jego mózg. Dokumentowanie powolnego odchodzenia taty okazało się jedną z najlepszych relacji mamy. Jak gdyby opiekowanie się Jackiem zrodziło w niej miłość, która pomogła jej stać się taką osobą, jaką zawsze pragnęła być.

Próbowałam nakłonić dziś Jacka do jedzenia. Nie był jednak w stanie. Po pewnym czasie zdjęłam okulary. Przysunęłam do niego twarz i powiedziałam mu, wyszeptałam do ucha, że mi go brakuje. Zaczęłam płakać. Nie chciałam, żeby to zobaczył, więc odwróciłam głowę. A Jack tymi resztkami sił, które jeszcze tliły się w jego nieszczęsnym ciele, wyjął mi z kieszeni serwetkę i powoli, jak to on, bardzo powoli popatrzył na mnie tymi świdrującymi niebieskimi oczami i otarł mi łzy. „Damy radę, Dorothy”.

Nie dał rady. Mama opiekowała się tatą, tak samo jak wcześniej opiekowała się Randym, Robin, Dorrie i mną – przez całe nasze życie. Tymczasem kto był przy niej, gdy kreśliła drżącą ręką: Czerwiec 1993. Oto dzień, w którym usłyszałam, że mam początki choroby Alzheimera. Przerażające. Tak rozpoczęła się piętnastoletnia walka z utratą pamięci.

Nie zrezygnowała z pisania. Gdy nie była już w stanie zapisywać pełnych akapitów, poprzestawała na zdaniach w rodzaju: *Czy byśmy się mniej ranili, gdybyśmy częściej dotykali się nawzajem?* albo *Szanuj siebie*. Jak również krótkich pytań i stwierdzeniach, na przykład: *Szybko. Jaka dziś data?* Albo dziwactwach w stylu: *Moja głowa bierze zakręt*. Gdy nie

mogła pisać pełnymi zdaniami, notowała pojedyncze wyrazy: *CZYNSZ, TELEFON, KWIATY, SAMOCHÓD*. A nawet swoje ulubione słowo: *MYŚL*. Gdy zaczęło brakować słów, zapisywała liczby, a w końcu nie mogła zapisać już nic.

Dorothy Deanne Keaton urodziła się w Winfield w stanie Kansas w 1921 roku. Jej rodzice, Beulah i Roy, przenieśli się do Kalifornii, zanim skończyła trzy lata. Byli przybyszami z samego serca Ameryki goniącymi za wielkim marzeniem. Ta pogoń rzuciła ich na wzgórze Pasadeny. W liceum mama grała na pianinie i śpiewała w triu o nazwie Dwie Kropki i Kreska. Miała szesnaście lat, gdy jej ojciec odjechał w siną dal, pozostawiając Beulah z trzema córkami zdanymi tylko na siebie. Pod koniec lat trzydziestych nastały dla Keatonek ciężkie czasy. Beulah, która nie przepracowała w życiu ani jednego dnia, musiała znaleźć sobie jakieś płatne zajęcie. Dorothy zrezygnowała z marzeń o studiach, żeby pomagać w domu, póki Beulah nie znalazła wreszcie posady dozorczyni.

Mam fotografię szesnastoletniej Dorothy stojącej obok swego ojca, Roya Keatona. Dlaczego zostawił ukochaną córkę, podobną do niego jak dwie krople wody, dlaczego? Jak mógł spakować manatki, wiedząc, że na zawsze złamie jej kawałek serca?

Wszystko uległo zmianie, gdy Dorothy poznała Jacka Halla w Highland Park, na boisku do koszykówki w Los Angeles Pacific College. Mama uwielbiała wspominać, jak ów przystojny młody mężczyzna o czarnych włosach i niebieskich oczach przyszedł z zamiarem poznania jej siostry Marthy, ale to od niej nie odrywał wzroku. Śmiała się i mówiła: „To była miłość od pierwszego wejrzenia”. I musiało tak być, ponie-

waż wkrótce potem uciekli chyłkiem do Las Vegas i pobrali się w Stardust Hotel.

Mama nigdy nie opowiadała mi, o czym w życiu marzy. Pojawiały się jednak pewne wskazówki. Przewodniczyła Stowarzyszeniu Nauczycieli i Rodziców, jak również Arroyo Vista Ladies Club. Uczyla w szkółce niedzielnej w naszym kościele wolnych metodystów. Brała udział w każdym konkursie ogłaszany na opakowaniach płatków śniadaniowych. Ubóstwiała teleturnieje. Naszym ulubionym był *Queen for a Day* (Królowa Jednego Dnia), prowadzony przez Jacka Baileya, który nieodmiennie pięć razy w tygodniu rozpoczynał każdy odcinek pytaniem: „Czy chciałabyś zostać... KRÓLOWĄ... JEDNEGO... DNIA?”. Zabawa wyglądała tak: Bailey przeprowadzał rozmowy z czterema kobietami; tę, która była w najgorszej formie – w ocenie publiczności mierzonej siłą braw – koronowano na Królową Jednego Dnia. Przy dźwiękach orkiestrowego marsza otulał zwyciężczynię aksamitną peleryną z białym futrzanym kołnierzem, wkładał jej na głowę skrzącą się tiarę i wręczał cztery tuziny czerwonych róż z hollywoodzkiej kwiaciarni Carl's. Mama i ciocia Martha nieraz wysyłały formularze zgłoszeniowe z opisem swoich smutnych historii. Mama o mały włos dostałaby się do programu, kiedy napisała: „Mojemu mężowi potrzebne jest płuco”. Przyparta do muru o podanie więcej szczegółów, wyjawiała prawdę – coś, w pewnym sensie. Jack Hall, zapalony pletwonurek, musi nurkować coraz głębiej, żeby na talerzach rodziny znalazło się więcej jedzenia. Mamę wyeliminowano.

Pewnego ranka obudziłam się, zastawszy grupę obcych osób płaczących się po całym domu i wtykających nos do każdego pomieszczenia. Mama nie zadała sobie trudu, by nas poinfor-

mować, że zgłosiła się do konkursu Mrs. America na szczeblu lokalnym. W rywalizacji chodziło o wyłonienie idealnej gospodyni domowej. Później poinformowała nas, dzieci, że współzawodnictwo obejmuje takie umiejętności, jak nakrywanie do stołu, układanie kwiatów w wazonach, ścielenie łóżek oraz gotowanie, a także zarządzanie domowym budżetem i wyróżnianie się wyglądem osobistym. Jedyna reakcja, jaka przyszła nam do głowy, brzmiała: „O RANY”.

Miałam wtedy dziewięć lat, a zatem wystarczająco dużo, by zasiąść na widowni kina przy Figueroa Street, gdzie koronowano ją na Mrs. Highland Park. Nagle moja matka, świeżo upieczona najdoskonalsza gospodyni domowa Highland Park, wyrosła przede mną na przepastnej scenie, na tle wielkiej kurtyny z czerwonego aksamitu. Gdy rozsunęły się draperie, ukazując telewizor RCA Victor Shelby, pralkę i suszarkę Philco, zestaw walizek marki Samsonite, modną garderobę z domu towarowego Ivers oraz sześć kobaltowoniebieskich flakoników wypełnionych perfumami „Evening in Paris”, nie bardzo wiedziałam, na co właściwie patrzę. Co widzę? Dlaczego mama stoi w świetle reflektorów jak jakaś gwiazda filmowa? Było to niesamowicie ekscytujące, a zarazem wyjątkowo nieprzyjemne. Coś się stało, doszło do zdrady. Mama mnie opuściła, lecz co gorsze, znacznie gorsze, marzyłam w duchu o znalezieniu się na tej scenie zamiast niej.

Pół roku później Dorothy Hall zdobyła tytuł po raz kolejny, tym razem jako Mrs. Los Angeles, i odebrała koronę z rąk Arta Linklettera w hotelu Ambassador. Mój brat Randy i ja oglądaliśmy ją w naszym nowiutkim telewizorze wygranym przez mamę w poprzednim konkursie. Do obowiązków Mrs. Los Angeles należało pokazywanie się w lokalnych supermarketach, domach

towarowych i klubach na terenie całego hrabstwa Los Angeles. Rzadko bywała w domu, a kiedy już się tam znalazła, piekła na okrągło to samo niemieckie ciasto czekoladowe z orzechami włoskimi w nadziei otrzymania korony Mrs. California. Tato miał powyżej uszu całej tej męki i nie krył swoich uczuć. Przegrawszy upragniony tytuł, zaakceptowała porażkę z taką samą łatwością, z jaką powróciła do powszednich domowych obowiązków; coś się jednak zmieniło, przynajmniej w moim odczuciu.

Czasem zastanawiam się, jak przeobraziłyby się nasze życie, gdyby mama postanowiła zostać Mrs. America. Czy przeistoczyłaby się w osobistość telewizyjną, tak jak Bess Myerson, czy zostałaby rzeczniczką firmy Philco produkującej urządzenia elektryczne, czy może felietonistką magazynu „McCall’s”? Co stałoby się z moimi marzeniami znajdowania się w centrum uwagi, gdyby ona zrealizowała swoje? Inna matka sprzątnęła jej sprzed nosa okazję, mnie to jednak nie obchodziło; byłam zadowolona, że nie muszę dzielić się nią z szerszym światem.

Mama wierzyła, że jej dzieci czeka świetlana przyszłość. Ja byłam przecież taka zabawna. Randy pisał wiersze. Robin śpiewała, a Dorrie błyszczała intelektem. Zanim trafiłam do gimnazjum, zebrałam wystarczająco dużo trój z minusem, by dowieść, że nie jestem jednak uczennicą, którą czeka świetlana przyszłość. Podobnie jak resztę narodu, w 1957 roku poddano mnie testowi na inteligencję. Wyniki mnie nie zaskoczyły. Z jednym wyjątkiem – czymś, co nazywało się „myśleniem abstrakcyjnym”. Nie mogłam się doczekać powrotu do domu i opowiedzenia mamie o tym myśleniu abstrakcyjnym. Co to

w ogóle takiego? Podekscytowana każdym naszym osiągnięciem, wyjaśniła mi, że myślenie abstrakcyjne to umiejętność analizowania informacji i rozwiązywania problemów na poziomie złożonego, racjonalnego rozumowania. Bez względu na to, jak bardzo starałam się znaleźć odpowiedzi na pytania drogą gruntownych przemyśleń, wciąż nie do końca rozumiem, czym właściwie jest owo myślenie abstrakcyjne.

W 1959 roku, gdy do sąsiedniego domu wprowadzili się Bastendorfowie, nasze kulturalne horyzonty uległy zmianie. Bill był psychologiem z doktoratem. Zwłaszcza tato nie ufał „lekarzom od głowy”. Nie mógł jednak nie polubić Billa oraz jego żony Laurel, którzy wywołali niemałe poruszenie w okolicy, ponieważ pozwalali dzieciom biegać na golasa po dworze.

Na naszej ulicy identycznych domków osiedlowych obramowanych równiutko skoszonymi trawnikami sąsiedzi nie umieli przekonać się do ogrodowej dżungli Bastendorfów ani do ścian ich domu obwieszonych plakatami z reprodukcjami dzieł Picassa, Braque’a i Miró. Czasem Laurel zawoziła mamę do jedynej kawiarni bitników w Santa Ana. Pewnego razu rozmawiały tam przy filiżance espresso o artykule z najnowszego numeru magazynu „Sunset” poświęconym dyktatorom wnętrzarskich mód rangi Charlesa Eamesa czy Cliffa Maya – coś w tym guście. Wiem tylko, że mama była zachwycona, szczególnie kiedy Laurel pokazała jej, jak się układa obrazy z muszli. Tak ją to zainspirowało, że stworzyła własną hybrydę – obraz z kamyków. Wkrótce rozpanoszyły się w całym domu. Ten, który zapamiętałam najlepiej, miał co najmniej metr na półtora metra i ważył tak dużo, że niektóre kamienie zaczęły odpadać. Choć większość ludzi uważała Dorothy za gospodynię domo-

wą, ja dostrzegałam w niej artystkę zmagającą się z poszukiwaniem środka wyrazu.

Zainspirowana przykładem Bastendorfów, mama zapakowała nas, dzieciaki, do rodzinnego kombi i zawiozła aż do Nowego Jorku na wystawę *Sztuka asamblażu* w Museum of Modern Art. Joseph Cornell oraz sposób, w jaki poruszał się po swoim świecie wyobraźni zamkniętym w pudełkach i kolażach, wpawiły nas w zachwyt i osłupienie. Natychmiast po powrocie do domu postanowiłam pokryć kolażami całą ścianę swojego pokoju. Mama zapaliła się do tego pomysłu, podsuwając zdjęcia z magazynów, które, jak sądziła, mogłyby mi się spodobać, na przykład fotografię Jamesa Deana stojącego na Times Square. Wkrótce kolaże znajdowały się niemal wszędzie: na koszach na śmieci, na pudełkach do przechowywania różnych rzeczy zrobionych z grudkowatej masy papierowej; nawet ozdobiła kolażami wnętrza wszystkich szafek kuchennych. (Szkoda gadać). Randy wyniósł sztukę kolażu na nowy poziom, stając się prawdziwym artystą kolażystą. Do dziś dosłownie setki kolaży z aktualnego cyklu, *Powstrzymane przez twarz kobiety*, zalegają stosami w jego piekarniku, gdzie, jak twierdzi, są bezpieczne. Można by pewnie rzec, że zbieranie i przerabianie obrazków, przekształcanie tego, co znane, w zaskakujące połączenia i wzory w nadziei odkrycia nowej jakości stało się dla nas jednym ze wspólnych przekonań. Kolaż, podobnie jak myślenie abstrakcyjne, był wizualnym procesem analizowania informacji. „Racja?”, jak zawsze pytałam mamę w dzieciństwie. Z pewnością przyznawała mi rację.

Miałam czternaście lat, kiedy zaczęłam nosić w sobie wspomnienie, które pozostało ze mną na zawsze. Mama

tańczyła z tatą w świetle księżyca na wzgórzu w Ensenada w Meksyku. Przygrywał zespół mariachi. Patrzyłam z boku, jak całują się z głębokim uczuciem, które powinno spe-
szyć nastoletnią córkę. Tymczasem wzbudziło mój podziw. A wręcz tchnęło we mnie jakąś nową wiarę. Wiarę w ich miłość. Otoczona skrzydłami ich wzajemnego zauroczenia wiedziałam, że nie będzie pożegnań.

Na ostatniej stronie mojego pamiętnika nastolatki napisałam: „Do wszystkich zainteresowanych. Kiedy wyjdę za mąż, chcę omawiać wspólnie z mężem wszystkie ważne sprawy. Żadnych emocjonalnych wybuchów na oczach dzieci. Żadnego przeklinania. Nie chcę, żeby mój mąż palił, ale może od czasu do czasu pozwolić sobie na drinka. Chcę, żeby moje dzieci chodziły co niedziela do szkoły niedzielnej. Będą dostawały klapsy, ponieważ wierzę w ich skuteczność. W gruncie rzeczy chciałabym, żebyśmy prowadzili z mężem dom tak samo, jak robią to teraz mama i tato”.

„Do wszystkich zainteresowanych”? Komu chciałam mydląć oczy? I dlaczego starałam się zgrywać taką grzeczną dziewczynkę, skoro moje prawdziwe uczucia były dalekie od tych zasad na niby w temacie, który mnie przerażał? Oto coś, co pominęłam w pamiętniku, a co na zawsze utkwilo mi w pamięci. Pewnego razu puszczaaliśmy sobie z Dave'em Garlandem liściki na lekcji algebry u pani Hopkins w dziewiątej klasie. Dave był „prawdziwym równiachą”, ale „mnie nie znosił”. Zakończył naszą wymianę korespondencji czterema słowami: „Będiesz kiedyś dobrą żoną”. Żoną? Nie chciałam być żoną. Chciałam być dziewczyną, która ma powodzenie, kimś, z kim wszyscy chcą się obściskować po kątach. Chciałam być Barbrą Streisand, która śpiewa: „Nigdy, nigdy nie

wyjdę za mąż; wolność moim przeznaczeniem”. I nigdy za mąż nie wyszłam. Nigdy nie związałam się z nikim na stałe. Podczas gdy jako oddana i posłuszna córka nie przestawałam zadowalać rodziców, głowę miałam w chmurach, całując się w wyobraźni z nieosiągalnymi bożyszczami w rodzaju Dave’a Garlanda. Wykoncypowałam, że jedynym sposobem zrealizowania mego głównego marzenia – zostania prawdziwą gwiazdą komedii muzycznych na Broadwayu – jest poprzestanie na roli kochającej córki. Miłość do mężczyzny oraz rolę żony należało zepchnąć na bok. Zatem nadal goniłam za nieosiągalnymi bożyszczami.

Imiona się zmieniały, najpierw Dave, później Woody, Warren i wreszcie Al. Czy mogłabym stworzyć z nimi trwały związek? Trudno orzec. Podświadomie musiałam wiedzieć, że nigdy by to nie wypaliło i z tego powodu nigdy nie stanęli na mojej drodze do realizacji marzeń. Ja mierzyłam wyżej. Pragnęłam publiczności. Jakiegokolwiek. Co zatem zrobiłam? Chodziłam na wszelkie możliwe przesłuchania, nie opanowując przy tym żadnych szczególnych umiejętności. Śpiewałam w chórze kościelnym i szkolnym zespole wokalnym. Próbowalam swoich sił przy naborze do wymachującej pomponami drużyny cheerleaderek. Zgłaszałam się na przesłuchanie do każdego konkursu młodych talentów i każdego przedstawienia, z *Poskromieniem złoŃnicy*, której nie rozumiałam, włącznie. Byłam klasową dyskutantką i redaktorką biuletynu Chrześcijańskiego Stowarzyszenia Młodzieży ŻeŃskiej. Kandydowałam na stanowisko sekretarza dziewiątej klasy. Błagałam nawet mamę, żeby pomogła mi dostać się do Job’s Daughters, sponsorowanego przez masonerię tajnego klubu, którego członkinie paradowały w długich sukniach w wi-

dowiskowej atmosferze. Pragnęłam być wielbiona, postanowiłam zatem pozostawać w bezpiecznych ramionach Jacka i Dorothy; tak mi się przynajmniej wydawało.

Teraz, kiedy przekroczyłam sześćdziesiątkę, chcę lepiej zrozumieć, jak czuła się urodziwa żona Jacka Halla wychowująca czworo dzieci w słonecznej Kalifornii. Chcę wiedzieć, dlaczego mama nieustannie zapominała pamiętać, jaka jest cudowna. Chciałabym, żeby była dumna z tego, jaką wielką sprawiała nam frajdę, kiedy grała dla nas na pianinie *Mamusię* i śpiewała: „Słonko na wschodzie, słonko na zachodzie, a najjaśniej – u mamusi w ogrodzie”. Nie wiem, dlaczego nie doceniała, jakie niezwykle fundowała mi przeżycia, zabierając mnie do muzealnej sali, w której stał marmurowy lew z odlupaną prawą stroną pyska; brakowało mu też stóp. Wyniosła bogini w innej sali była pozbawiona ramion. Mama wydawała z siebie ochy i achy:

– Diane, czy to nie piękne?

– Przecież wszystkiego im brakuje. Są niekompletne – uważałam.

– Ale czy nie widzisz? Nawet bez tych wszystkich utraconych fragmentów, zobacz, jakie są wspaniałe.

WYDAWNICTWO BUKOWY LAS



wydawnictwobukowylas



wydawnictwobukowylas



wydawnictwobukowylas



bukowylas.pl

KUP TERAZ



swiatksiazki.pl

WCIĄŻ OD NOWA

Wspomnienia Diane Keaton, znanej milionom widzów pod postacią Annie Hall, to fascynująca opowieść o drodze aktorki do sławy, o jej związkach ze znakomitymi ludźmi filmu, Woodym Allenem, Warrenem Beattyem i Alem Pacino, oraz o zmaganiach z bulimią. Jest to także portret jej rodziny, opowieść o miłości i przyjaźni, a zwłaszcza hymn na cześć matki, Dorothy Hall – kobiety, którą rozpieęła intelektualna i twórcza energia, zawsze marzącej o pełniejszym i piękniejszym życiu.

Nr 21000336/D0

ISBN 978-83-8074-970-2



9 788380 749702



bukowylas.pl

Cena: 49,90 zł